NASZA MYŚL

1935
lipiec - sierpień
Nr. 4.



SZERZY KULT
BRATA ALBERTA

OMAWIA ZAGADNIENIA
ZWIĄZANE Z IDEOLOGJĄ
DZIEŁA BRATA ALBERTA

PRZYNOSI WIADOMOŚCI Z
DOMÓW ALBERTYŃSKICH

Kraków, ul. Kościuszki 86.
Telefon Nr. 132-48.

CENA 30 GR.

„NASZA MYŚL" dwumiesięcznik albertyński

wychodzi w Krakowie, ul. Tadeusza Kościuszki l. 86.

Treść zeszytu:

ZA POZWOLENIEM WŁADZY DUCHOWNEJ.

Wydawca: Brat Wincenty, Albertyn.

Za redakcję: Br. Viator

Za administrację: Figiel Władysław

Drukarnia „Róż św. Teresy" Kraków, Dolnych Młynów 3.

NASZA MYŚL

Nr. 4 Lipiec-sierpień 1935.



. . . „Szedł pracując, — szedł myśląc,
że duma stargana i sponiewierana
wyda nie jęk rozpaczy,
lecz siłę olbrzyma" . . .

(J. Piłsudski — Przemówienie na Wawelu)
(Kraków, 28. VI. 1927 r.)



mal. Br. Albert.

CMENTARZ.

BRAT ALBERT

WARTOŚĆ PRACY.

Zwykła praca codzienna z obowiązków stanu wynikająca, może mieć wartość modlitwy, cnoty i przykładu zarazem; i tak jest rzeczywiście wtedy, kiedy podejmujemy zwykłą pracę i starannie ją wykonujemy, nie dla zysku, ani z osobistego upodobania, ale dla słuszności pracy, dla jej sprawiedliwości i z poczucia obowiązku, inaczej mówiąc dlatego mianowicie, że Pan Bóg chce, abyśmy pracowali na chleb, który nam daje. Tak właśnie pracował Chrystus Pan, kiedy żył na ziemi i wszyscy Jego Święci, taka jedynie praca uszlachetnia, podnosi i jest właściwa wolnym synom Bożym; bo nie na tem wolność zależy prawdziwa, żeby człowiek robił co sam chce, ale na tem, żeby chciał tego samego, co chce Bóg, który jest źródłem wszystkiego prawdziwie dobrego, więc i prawdziwej wolności źródłem. Na takiej drodze pracy niema niepowodzeń ani zawodów, bo chociaż zysk materjalny albo upodobanie jej towarzyszy, wszakże jej nie powoduje, dla Boga została podjęta, Bóg zawsze ją wynagradza wewnętrznym spokojem duszy; chleb zaś wedle rzeczywistej każdego potrzeby dostajemy od „Ojca" darmo, na prośbę naszego codziennego pacierza. Jest nam przydany. Słowem Bożem, Najśw. Sakramentem i takim tylko żyje chrześcijanin i nie chce innego, bo innym gardzi. Sława, honory i inne rzeczy do chleba niekiedy dodane, idą za chrześcijańską pracą, lecz nie są jej celem.

Prof. Rudolf Hajnos.

Św. Franciszek a Brat Albert w dobie obecnej.

(Dokończenie).

A Adam Chmielowski? W życiu świeckiem żołnierz z powstania 63 r., który ranny w bitwie, poddaje się amputacji nogi, ucieka z niewoli rosyjskiej — gdzie jako powstańcowi groziła śmierć, następnie student inżynierji, i artysta malarz, którego prace zyskały wielki rozgłos — a sam miał wielki wpływ na ówczesnych sławnych artystów, ten wytworny światowiec, do którego śmiały się wszystkie ponęty życia, któremu młodość, powodzenie, swoboda od trosk i talent zapewniały szczęście, które mógł brać pełnemi garściami, po zetknięciu się ze skrajną nędzą ludzką, schodzi na drogę prowadzącą również do sławy, a którą mu wskazał jego mistrz św. Franciszek z Assyżu. Adam Chmielowski wprawdzie nie wszedł pomiędzy trędowatych, którym trąd ciało wyżerał, ale pomiędzy trędowatych, którym trąd wyżerał duszę, którzy stoczyli się na dno nędzy moralnej. Oto w jaki sposób zetknął się Adam Chmielowski z tymi wyrzutkami społeczeństwa? Gdy jako człowiek świecki wracał raz nocą z rautu, który odbył się u hr. Potockich, wstąpił do t. zw. ogrzewalni, która była przytułkiem dla nędzarzy. Była to jedna wielka izba — ogromnie zaniedbana, bez podłogi, brudna, pełna robactwa, które roiło się jak mrowisko[1]). O mieszkańcach tej ogrzewalni pisze naoczny świadek, że było to zbiorowisko nietylko wszelkiej nędzy moralnej, ale i wszelkiego rodzaju występków. Mieszkańcy pili tam wódkę, grali w karty, nie zwracając uwagi na to, że jakiś biedak pod pryczą konał. Byli tam chorzy i zdrowi, pijacy i złodzieje, ale też i uczciwi bezdomni. Na podłodze około pieca kłębiły się ciała uliczników i dzieci.

Do stosów ubrań, które suszyły się przy piecu, sypało się robactwo, a twarze chłopców wyglądały tak, jakby były ospą

[1]) Na podstawie artykułu w „Przeglądzie Powszechnym" i Ks. Staich „Brat Albert".

czy trądem oszpecone. Straszny zaduch tamował oddech. W izbie tej tłoczyło się około 200 osób, — szukających dla siebie miejsca — przyczem nie obeszło się bez kłótni, przekleństw i bitek. Podobnie wyglądała ogrzewalnia dla kobiet. Walki pomiędzy niemi dochodziły do tego stopnia, że jedna z kobiet chwyciła własne dziecko za nóżki i tłukła niem — jak maczugą — swoją przeciwniczkę. Oczywiście dziecko zabiła[1]). Taki stan zastał Brat Albert w ogrzewalni. Widok tych bezdomnych, ich nędza tak podziałała na niego, że postanowił im swoje życie poświęcić. Od tej chwili następuje decydujący zwrot w życiu Adama Chmielowskiego, który zaznaczał się już podczas jego pracy misjonarskiej na wschodnich Kresach, szerząc wśród szerokich mas ideę III Zakonu św. Franciszka (tercjarstwo). Od tej chwili zaczął się opiekować poszczególnymi ubogimi i chłopcami, co do których miał przekonanie, że uda mu się ich z nędzy wyratować, nie pozostawiał ich w ogrzewalni, lecz przygarnął do siebie, stał się ich żywicielem. W ten sposób jego malarska pracownia zmieniła się w schronisko dla nędzarzy, widać, że sława Adama Chmielowskiego zatoczyła z tego powodu dalsze kręgi, skoro St. Witkiewicz, gdy nie mógł się dopytać między znajomymi, gdzie mieszka Adam Chmielowski, poprosił o informacje jakiegoś żebraka i ten mu wskazał jego mieszkanie. Przekonanie odnośnie do metody postępowania z ubogimi miał identyczne ze św. Franciszkiem, który nie ograniczył się do dania tylko jałmużny, aby pozbyć się natręta. Jeżeli to był tylko biedny, dając mu jałmużnę starał się go nie upokarzać. Jeżeli to był człowiek moralnie lichy, dając jałmużnę starał się wywrzeć nań taki wpływ, aby go z tej nędzy moralnej podźwignąć i doszło nawet do tego, że znanych w okolicy bandytów potrafił nawrócić, a następnie jako robotników przyjąć do swego klasztoru.

Brat Albert nietylko sam, ale i swoim współpracownikom nakazywał, aby przyjmując biedaka o nic go nie wypytywali, dopóki go nie posilą, lub w jaki inny sposób zaopatrzą. — Twierdził, że nawet zbrodniarza, który dopiero zabił człowieka przyjąłby do przytuliska. Zapytany, dlaczego by tak

---

[1]) Ks. Staich: „Brat Albert".

zrobił — odpowiedział, aby tymczasem drugiego człowieka nie zabił.

Aby całkowicie oddać się ubogim — za zezwoleniem ks. Biskupa krakowskiego Kardynała Albina Dunajewskiego — przywdziewa habit Brata III Zakonu św. Franciszka, a donosząc o swoich poczynaniach napisał: „pamiętajcie, że umarł Adam Chmielowski a został tylko Brat Albert".

Oto sylweta Brata Alberta w habicie Brata III Zakonu św. Franciszka, którą nam podaje Antoni Chołoniewski.

„Wysoka, o głowę tłum przerastająca postać starca. Okrywa go szary habit, wobec którego najpodlejsze płótno chłopskie zdaje się być wykwintnym materjałem. Biodra przepasane prostym powrozem. Na głowie mała, okrągła czapka z nieprawdopodobnie nędznego sukna, która problematycznie chroni od zimna. Wygląda z pod niej ciemna, surowa, jakby z bronzu ulana, twarz średniowiecznego mnicha-ascety, ożywiona parą oczu, które z wyrazem litości lub zgrozy, zdają się patrzeć w oblicze szumiącemu dokoła życiu. Grube ręce noszą ślady fizycznej pracy. Cała postać ciężka i szorstka mówi o ciągłem przebywaniu wśród nizin ludzkich, na samem dnie społeczeństwa". —

Za zgodą Zarządu miasta Krakowa dostał lokal Ogrzewalni, który po odpowiednim urządzeniu pragnął wyzyskać dla biednych. Po odnowieniu lokalu i zaopatrzeniu się w żywność, — schronisko zaczęło się coraz bardziej zaludniać. Brat Albert staje się troskliwym sługą jego mieszkańców i nienatrętnym gospodarzem. Bezimiennym swoim gościom pozostawia daleko idącą swobodę. W fizycznie i moralnie duszną atmosferę przesącza się zwolna działanie jego mistycznej miłości. W duszach bezdomnych wykwita pierwszy kwiat ludzkiego uczucia i wdzięczności. Biedni zaczęli coraz bardziej ulegać jego wpływowi. W schronisku dla bezdomnych, gdzie przedtem modlitwa nie miała miejsca, zaczął się rozlegać szmer wspólnie mówionego pacierza. Bratu Albertowi przychodzą z pomocą towarzysze, którzy jak on naśladowcy św. Franciszka z Assyżu — odziani w grube habity czynią ubogim posługę. — Praca nad ubogimi nie ograniczała się tylko do wyżywienia. Między mieszkańcami schroniska byli i dawni rzemieślnicy, których Brat Albert, po dostarczeniu narzędzi zaprawia pomału do pracy. Ci, którzy nic nie umieli, wyplatali przynaj-

mniej słomiane rogóżki, które sprzedawano uboższej ludności Kazimierza — a zarobione pieniądze oddawano na własność mieszkańcom schroniska. W ten sposób zapoczątkował warsztaty, które w dzisiejszych zakładach albertyńskich tak męskich, jak i żeńskich są podstawą nietylko utrzymania, ale i wychowania tych, którzy do zakładów przybyli. W warsztatach zakładowych kształci się młodzież sieroca, aby po opuszczeniu zakładu miała możność zapracować na swój własny kawałek chleba. —

Zaparcie się Brata Alberta, jego czyny i trudy podziwiamy, wierząc, że one go wyniosły na wyżynę świątobliwego życia. Ale czy to wystarczy. Dziś duch Brata Alberta patrzy na nas, jest wśród nas. Czy byłby zadowolony, gdyby się tylko na tej chwale skończyło? Możemy być pewni, że nie, bo nie o chwałę mu chodzi, lecz o ubogich, bo kwestja bezdomnych i ubogich bez ich własnej winy i nędzarzy jest ciągle otwarta. Czyż dzisiaj nie mamy takich biedaków między sobą. Zajęci własnemi sprawami nie mamy czasu spojrzeć w ciemne cuchnące zaułki, gdzie gnieździ się występek i zdziczenie. Zdaje się nam, że dzisiaj źródło zła i występku nie istnieje. Spotykamy się i dzisiaj z nędzarzami, lecz przyzwyczajeni do ich widoku obdarowawszy ich jałmużną nie myślimy już o nich zupełnie. Są ubodzy, którzy posiadają na tyle kultury duchowej, że ubóstwo nie wpycha ich w stan depresji czy rozpaczy. Ale są ubodzy — którzy są ciemni a tych ubóstwo i nędze brata z alkoholem, w tych zanika wszystko, co jest lepszego a pozostaje brutalność i przytępienie. Dzieci takich ubogich wylegają na ulicę, dopuszczają się złych czynów i już jako małoletni dostają się do więzień —

Przypatrzmy się wyrostkom, którzy codziennie niemal przesiadują na placach niektórych dzielnic naszych miast i pędzą dosłownie beztroskie życie. Obdarci i brudni nagabują przechodniów, prosząc ich o jakąś jałmużnę. Obdarowani, — cieszą się ze zdobyczy — lecz cóż dalej? Co z nich wyrośnie.

Takich właśnie chłopców przygarniał Brat Albert do swego przytuliska, a gdy okazało się, że przebywanie na wspólnej sali z dorosłymi jest szkodliwe, założył osobny zakład dla chłopców. Wkrótce powstało więcej zakładów. Ile

w ten sposób uratowało się młodzieży. Ile jest dzisiaj ludzi na stanowiskach i to zaszczytnych, które to oni zawdzięczaja Bratu Albertowi i Jego następcom, którzy dzisiaj, idąc znowu śladami swego mistrza Br. Alberta i św. Franciszka — pracę przez Brata Alberta zaczętą niezmordowanie kontynuują — czekając na życzliwe poparcie ze strony społeczeństwa.

Przyjaciele Brata Alberta.

II.

Hr. Władysław Zamojski.

Pewnego razu przechodził Brat Albert którąś z ulic Zakopanego. Idąca z przeciw góralka, mniemając, że to „jakiś dziaduś po "pytaniu chodzący", wzruszona jego biednym wyglądem, dała mu bułkę, „coby się pokrzepił". Brat Albert jałmużnę przyjął. Dawało ją dobre serce. Zresztą taki duchowy magnat nie poczuł tutaj żadnego poniżenia.

Mniej więcej w tym samym czasie przybyła do Zakopanego pewna nauczycielka. Mając zamieszkać niedaleko dworca, a musząc się liczyć z groszem, rozglądała się dokoła, kogoby najtaniej nająć do odniesienia walizki. Zauważywszy w tłumie ludzi jakiegoś starszego, licho odzianego mężczyznę, zwróciła się do niego ze słowami: „Proszę mi odnieść kuferek, tutaj niedaleko!" Wezwany mężczyzna podjął kuferek i z uśmiechem na twarzy poniósł za przybyłą jejmością. Jakież jednak było zdziwienie owej jejmości, kiedy mniemany „posługacz" zapłaty nie przyjął, oświadczając tylko z pełną wersalskością: „Bardzo mi było przyjemnie".

Był to hr. Władysław Zamojski, jeden z największych magnatów polskich, a równocześnie podobny Bratu Albertowi magnat duchowy. Tacy zasię magnaci musieli być przyjaciółmi. I tak było istotnie. Wiadomo bowiem z jaką ofiarnością odnosił się hr. Władysław do dzieła Brata Alberta, ofiarowując mu w Kuźnicach kawał ziemi pod pustelnię i jak gorąco go zawsze u siebie gościł. Przypadający sobie do serca przyjaciele, obaj znane „milczki" nie mogli się sobą nigdy dosyć nacieszyć. Mówili ze sobą niewiele. Czasem tylko na siebie

poglądali i dumali. Obaj jednak snuli jedne myśli. Wystarczało parę słówek, aby się porozumieć w rzeczach wielkiej wagi. I wtedy mogło się wydawać, że rozmawiają ze sobą, jak autorowie, samemi tylko myślami.

Władysław hr. Zamoyski był synem generała Wł. Zamojskiego, skazanego na śmierć przez Moskali za udział w powstaniu r. 1831 i Jadwigi, córki słynnego działacza wielkopolskiego z Kórnika, Tytusa Działyńskiego. Urodził się na wychodztwie we Francji 18 list. 1853 r. Chował się w środowisku ludzi, którzy wszystko ze siebie poświęcili Ojczyźnie. Najwięcej jednak ulegał wpływom ojca, który przez przeciąg lat 40 prowadził sprawę polską we Francji. Po ukończeniu szkoły politechnicznej, oraz służby wojskowej w armji francuskiej, odbył wielką podróż dokoła świata, którą ukończył w r. 1880. Następnie objął zarząd dóbr kórnickich. Gorący i nieustępliwy miłośnik sprawy polskiej naraził się jednak Prusakom i jako obywatel francuski, wydalony został z Wielkopolski, razem z matką i siostrą.

Prawie wtedy wystawiono na sprzedaż dobra zakopiańskie drogą przetargu. Hr. Władysław postanowił sobie, że niedopuści do kupna ani żyda, ani Niemca, ani nikogo obcego. I nie dopuścił. Na przetargu, kiedy odpadło Towarzystwo Tatrzańskie, pełnomocnik hrabiego, trzymając się ściśle danych poleceń, dodawał do każdej ofiarowanej sumy „jednego centa". I w końcu za takiego „centa" hr. Władysław został właścicielem pięknego uzdrowiska tatrzańskiego, o którem postanowił znowu, aby służyło tylko Polakom, jako uzdrowisko. Zabrał się tedy naprzód do zalesienia opustoszonych górskich uboczy, następnie do usunięcia żydowskich pachciarzy i arendarzy karczem, a w końcu rozegrania sprawy o Morskie Oko z Węgrami, ciągnącej się lat 17 i zakończonej r. 1902.

Kupno Zakopanego „za jednego centa", nazbyt skromny ubiór, dla którego brano go za biedaka, podróż z Chabówki, tylko „na przysiadkę" do kogoś i t. p. rzeczy, trącące czasem dziwactwem, wyrobiły hr. Władysławowi posądy o skąpstwo. Istotnie był skąpym, ale tylko dla siebie. Natomiast dla sprawy narodowej kupował Zakopane, rozgrywał sprawę o Morskie Oko, zakładał szkołę rzeźbiarską i Spółkę handlową dla zakopiańskich górali, ratował kilkanaście majątków w Małopolsce i Poznań-

skiem od przejścia w obce ręce, łożył bogate nakłady na wydanie cennych prac naukowych Tytusa Działyńskiego, dawał zapomogi ludziom szukającym nauki i t. p. A skoro powstała odrodzona Ojczyzna, oddał ciepłą ręką, na cele społeczne całą swoją majętność. Dla siebie bowiem potrzebował prawie tylko tyle, ile Brat Albert wyznaczał swoim zakonnikom. Umarł 3. października 1924 r. w Kórniku, gdzie także został pochowany. Śmierć zaskoczyła hr. Władysława właśnie wtedy, kiedy jego królewską darowiznę obejmowała w posiadanie odrodzona Ojczyzna. Jemu samemu natomiast nie było danem spędzić choćby kilka lat prawdziwie po albertyńsku, w całkowitem wyzuciu z wszelakiej własności. Widocznie wystarczyło Bogu jego „ubóstwo duchem".

Br. Wł.

O przełomie.

Dla biografa Brata Alberta najtrudniejszem, ale i najciekawszem zagadnieniem jest jego przełom duchowy. To jest ten moment, kiedy porzucił świat i sztukę, a więc wszystko i wstąpił do zakonu Jezuitów a wreszcie po wielu załamaniach i przejściach psychicznych złożył ze siebie ofiarę całopalną na ołtarzu miłości Boga i bliźniego.

On sam zaledwie, parafrazując słowa bohatera mickiewiczowskich Dziadów, napisał do swych znajomych: „Pamiętajcie, że Adam Chmielowski umarł, a został tylko Brat Albert". Stąd też jego przyjaciele i znajomi nie wiele umieli o tym okresie życia powiedzieć i tak przełom duchowy Brata Alberta pozostał zagadką.

Nikt też dotychczas nie zdołał należycie jej wyświetlić. Dopiero p. Marja Morstin-Górska w swej niezwykle ciekawej pracy „Brat Albert na tle okresu walki z romantyzmem", drukowanej w nr. 4 „Przeglądu Powszechnego" usiłuje odpowiedzieć na postawione sobie pytanie: „Co było przyczyną takiej przemiany i zerwania z przeszłością?"

Autorka wychodzi z założenia, że „w losie takich istnień, jak Brat Albert, musimy brać pod uwagę działanie natchnień Bożych, zarówno jak i elementy psycholicznego rozwoju. Drogi Łaski i Natury nie leżą w duszach obok siebie, ale przeplatają się i przenikają wzajemnie. Chcieć je oddzielać w badaniu życia świętych, to tworzyć sztuczne preparaty z jednolitej osobowości człowieka". W myśl takiego założenia słusznie łączy Autorka przełom duchowy Brata Alberta z współczesnemi warunkami polskiego społeczeństwa i wnikliwie analizuje jego życie na tle okresu walki z romantyzmem w Polsce. Pisze, że „pokolenie współczesne

Bratu Albertowi wyrosło pod najsilniejszym wpływem romantyzmu. Dzieła trzech wieszczów przeszły już w krew narodu i kształtowały już jego życie. Urabiały tych szalonych młodzieńców, którzy pod naporem rozżarzonych tęsknot do wolności, porwali się na czyn zbrojny, nie mający rozsądnie żadnych widoków powodzenia".

„Powstanie okazało się katastrofą", a straszną tragedją dla jego uczestników. „I widzimy jak całe to pokolenie rozbitków, wiedzione jakimś nieomylnym instynktem, obraca się przeciw temu, co było właściwie źródłem katastrofy — przeciw romantyzmowi. Ale walka to gorzka, bo walka z wrogiem, który rozsiadł się we własnej duszy i niełatwo daje się z niej wyprzeć".

Społeczeństwo przechodzi do walki z romantyzmem. W literaturze przeprowadzają pozytywiści hasła szarej pracy organizacyjnej, pracy od podstaw, a w ślad za hasłami postępują czyny. Powstają fabryki, szkoły. W polityce odpowiednikiem tego stanowiska rezygnacji stali się Stańczycy w Małopolsce, a w Kongresówce ugodowcy wszelkich odcieni.

Ale w żadnej z tych grup nie dostrzega Autorka Brata Alberta. Jego bowiem zalicza do grupy ludzi, „którzy również wyszli z burzy powstania styczniowego, a którym szczególnie głębia i żarliwość uczuć nie pozwoliła zamknąć się bez reszty w kręgi pozytywistów, mimo rozczarowania do wielkich haseł romantycznych. Przerzucili oni pragnienia swych serc na plan życia mistycznego, szukając obrony przeciw nierealnym złudzeniom w katolicyzmie. Przylgnęli do religji, bo dawała im rozpęd w zaświaty, stwarzając jednocześnie dla tej siły ośrodkowej ścisłe ramy dogmatu i tradycji Kościoła. Otwierała im okna na wieczne perspektywy, na najwyższe ideały, ale kazała ją wcielać w z w y c z a j n o ś ć dnia codziennego, w trud zadań teraźniejszości". —

To nam tłumaczy, że „w tym czasie pojawia się oddawna już niespotykany w historji kultury polskiej, cały szereg reformatorów, czy założycieli nowych zakonów, otoczonych nimbem niezwykłej świętości". Takimi byli : O. Honorat, kapucyn, O. Rafał Kalinowski, O. Jackowski, T.J. Wanda Malczewska, Józefa Karska, Marcelina Dorawska. „Oni się stali ludźmi cichej cnoty i niegłośnego czynu, nie „synami zalotnicy sławy", dlatego w piśmiennictwie tej epoki mało jest o nich wspomnień".

„Brat Albert silnie jest wrośnięty w swoje otoczenie i bliski innym pracownikom Bożym swego czasu. Co dzieli go od nich i nadaje mu osobny charakter, — to piętno prawdziwego artysty, które zachował do końca życia. Nie mógł przystosować się do żadnego z istniejących Zgromadzeń zakonnych, ani do obowiązku stanu duchownego, musiał stworzyć dla siebie i swych braci odrębną formę zakonną. Odrzucił malarstwo, znajdując inne cele działania, ale szukał dalej piękna, odblasku Boga w świecie — szukał go wytrwale w samotnych pustelniach górskich i w duszach, w których odbicie tego piękna zdaje się najbardziej startem i zmazanem. Cały jego stosunek do ludzi i rzeczy, zdolność przenikania ich bezpośrednim chwytem serca, pozaintelektualnym sposobem pojmowania — to charakterystyczna postawa artysty, nie socjologa ani mora-

lizatora. I w tem późniejsze jego życie jest rozwinięciem poprzednio tkwiących w niem przekonań, a nie ich przeciwstawieniem".

W taki mniejwięcej sposób podchodzi p. Marja Morstin-Górska do psychologicznego wyjaśnienia przełomu duchowego Brata Alberta. Dla ścisłości należy zaznaczyć, że wspomniana praca jest odczytem, wygłoszonym na Akademji w Naukowym Instytucie Katolickim w Krakowie i w tej formie nie mogła pomieścić wszystkich naturalnych czy mistycznych przyczyn powołania Brata Alberta, — bo jak sama Autorka wspomina — „to temat na obszerną książkę".

O p. Morstin-Górskiej słyszymy, że podjęła pracę nad obszerną biografją Brata Alberta, jak to się mówi „na poziomie", dla inteligencji katolickiej. Jeżeli krótko tutaj streszczony artykuł można uważać za próbkę przygotowywanej pracy, to należy z niecierpliwością oczekiwać pojawienia się niezmiernie ciekawego dzieła, które stać się może początkiem nowego etapu w rozwoju sprawy beatyfikacji Brata Alberta.

W końcu mała uwaga dotycząca charekterystyki zewnętrznej Brata Alberta. Oto w pewnem miejscu czytamy, że „Brat Albert sam straszliwie poraniony dostaje się do rąk wrogów, traci nogę wysoko amputowaną i trzy palce u lewej ręki". Jak wynika z świadectw lekarskich i z zeznań jego przyjaciół i współpracowników, brakowało mu tylko jednego palca.

WŁAFIG

Pro memoria.

Dwa typy.

(Wstęp do reportażu drukowanego we Lwowie u schyłku ubiegłego wieku, a więc na długo przed śmiercią Brata Alberta).

Proszę sobie wyobrazić typ młodego człowieka, który kocha bardzo życie. Jest to młodzieniec wesoły, posiadający dużo niezaspokojonych jeszcze pragnień, naładowany projektami, do którego wszystko się uśmiecha. Przyszłość posiada dla niego mnóstwo czarownych przyrzeczeń, teraźniejszość karmi go powodzeniem, sympatją ludzi, a nawet sławą. Bohater nasz jest bowiem malarzem, przywiązany jest serdecznie do sztuki i posiadając iskrę talentu, nie potrzebuje wcale zajmować miejsca wśród wyrobników pendzla, dla których rozgłos jest marą nieuchwytną, a protekcja „kunsthändlera" jedynym szczeblem do osiągnięcia. Nawet bardzo surowi krytycy oceniają jego rzeczy pochlebnie i wróżą mu różowe horoskopy. A że aureola artysty, chociażby wybijającego się dopiero na wyżyny sztuki jest kapitałem, który obficie procentuje w stosunkach towarzyskich, więc młody malarz jest wszędzie widziany chętnie, lśniące posadzki salonów są jego gruntem powszednim

i życie płynie mu jak uwertura do większej symfonji, która będzie często, bardzo często wieńczona kwiatami i grzmotem oklasków . . .

A teraz inny typ. Mamy przed sobą zakonnika-ascetę.

Wysoki, pięćdziesięcioletni mężczyzna, ubrany w habit surowego zakonu św. Franciszka. Przed tym kostjumem wzdrygnąłby się rozkarnawałowany dandys. Grube, szare sukno, przepasane w biodrach zwykłym sznurem, nie musi bardzo przyjemnie otulać ciało nawet człowieka, który miał już czas przyzwyczaić się do niego. Na nogach sandały drewniane, u boku różaniec — oto wszystko. Spojrzyjmy na twarz tego zakonnika. Mieszka na niej surowy spokój i równowaga ducha, jakiej nie doznaje żaden z sytych bankierów. W obliczu tem jest coś nieziemskiego, coś uwolnionego z więzów namiętności ludzkich, coś, co sobie drwi łagodnie z burzliwej fali interesów tego świata. Wydaje się, jakby ten człowiek myślami przebywał na brzegu wieczności, skąd wszystko, co się da ogarnąć wzrokiem i co dla nas posiada znaczenie pierwszorzędne, wydaje się tak nieskończenie drobne, nikłe i marne.

Te oba typy, tak krańcowo różne i niepodobne do siebie, to jeden człowiek. Głośny zakonnik i organizator przytułków dla nędzarzy w Krakowie i we Lwowie Brat Albert jest tym samym, który przed laty znany był w salonach warszawskich, jako utalentowany artysta malarz, Adam Chmielowski. Nie często zapewne w życiu jednego człowieka spotyka się tak dziwne i gruntowne metamorfozy. Chciałoby się prawie uciec do gotowej formułki, która podobne objawy klasyfikuje, jako schyłkowość i wytwór wzmożonego szamotania się duszy ludzkiej w czasach wikłających się coraz bardziej zagadnień, gdyby klasyfikacja taka nie była zbyt banalną i płytką, gdyby dzieje umysłowości nie wykazywały podobnych zjawisk w czasach dawniejszych jak nasze. Tajemne głębie ducha ludzkiego są pokładem, na którego transformację nie mógł oddziaływać tak krótki stosunkowo przeciąg czasu, jak okres człowieka kulturalnego i dlatego wolę postaci Brata Alberta nie podciągać pod strychulec schyłkowości. Bez względu na formułki pozostaje ona niecodzienną i wysoce zajmującą dla psychologa.

Michalina Janoszanka.

„Nasza Myśl".

Na drzwiach mego mieszkania jest
skrzyneczka,
Która zbiera listy i dzienniki,
I to wszystko, co ludzie do mnie
piszą.

Skrzynka ta zwykle pełna słów
życzliwych
I pamięci przyjaciół,
Lub skarg smutnych, któremi nieszczęśliwi się żalą
Wzywając pomocy.

Czasem w niej znajdę numer
loteryjny
Z zapewnieniem,
Że wygrać miljon, tylko od mej
woli zależy.

Często szewc zachwala podeszwy
i obcasy,
Lub pralnia chemiczna tanie
farbowanie,
Elektromonter ogłasza, że naprawia
dzwonki,
A wypożyczalnia nowe poleca
książki.

O dziesiątej godzinie otwieram tą
skrzyneczkę
Pełna nadzieji,
Bo przecież każdy się cieszy
otrzymaniem listu.

A kto nikogo niema już na ziemi,
Ten poczty się nie boji,
Ani nie przestraszy się depeszy.

Nikt już do mnie listów nie pisze
Takich moich — własnych,
Co mogą uszczęśliwić, lub zabić.

Przeglądam koperty i karty
i reklamy,
Zaproszenia na posiedzeń wiele,
Z każdem tem wezwaniem coś
mnie łączy.

Miljona — wiem, że nie wygram,
Bo tak jakoś do pieniędzy
szczęścia nie mam.

Trzewiki naprawią mi szewcy na
Zwierzyńcu,
Albertyńscy — więc najmilsi —
A dzwonek, to najsłodsza chwila
życia,
Gdy zepsuty.

Książki czytam stare
I odkrywam w nich coraz nowe
wartości i poloty.

Nic się nie wstydzę, że nie znam
autorów
Nową sławą okrzyczanych,
Którzy bolszewicką pięścią walą
piękna i prawdy
Podstawy —
Pod fałszywem nowatorstwem
ukrywając
Swojej duszy pustkę.

Mądry człowiek, któremu Stwórca
dał oczy,
By podziwiał niemi świata cuda,
Wzrok szanuje i ceni.

A głupiec, nad tandetą drukowaną
Czas i zdrowie traci.

I cała pociecha w tem, że plewy
zawsze wiatr odrzuci —
A tylko ciężkie ziarno się ostoi —
Więc i lektura ta nie wieczna —

Czasem — rzadko — ale jeśli
wpadnie w ręce
Jakaś książka czysta i słoneczna
Jakąś wdzięczność w sercu budzi.

Bo prawdziwa poezja i prawda jest
wieczna —
Nie wypłoszy jej zgrzyt fałszu,
krzyk i hałas.

Tylko nikt jej szumną reklamą nie
rozgłasza
I samemu trzeba
Perłę tę w śmieciach wyszukać.

— — — — — — — — —

Chcę wam powiedzieć, jak się
strasznie cieszę,
Gdy w skrzyneczce znajdę
„Naszą Myśl"
Dziwnie drogie mi pisemko.

Czytam wszystko — i to co na
okładce i pod okładką
I reklamy o introligatorach
i stolarniach —
I zdaje mi się że coś mojego tam
posiadam.

„Myśl" poświęcona Bratu Albertowi
A „Brat Albert" jest każdego
z nas —
On do nas wszystkich należy.

A komu nigdy nie ma nadejść
miła wieść,
Ani list skreślony drogą ręką,
Myśl albertyńska napełniona
wspomnieniem tego
Co żył tylko poświęceniem i ofiarą
Jakiś pomost rzuca ku wieczności.

Życie Brata Alberta to monolit
O który oprzeć się można
I nie trzeba wiele myśleć —
tylko ufać.

Z ruchu albertyńskiego.

Zmniejsza się „stara gwardja" Brata Alberta.

Starą gwardją nazywamy starszych braci, szkolonych w rzemiośle miłosierdzia chrześcijańskiego przez samego mistrza Br. Alberta. I oto niezastąpione te szeregi cichych, nieznanych zakonników w miarę postępu czasu coraz więcej topnieją. Gasną jak świeczki jedna za drugą i płomień żarliwej miłości ich serc przestaje ogrzewać odepchniętych przez świat biedaków. Odchodzą od nas ci, których udziałem były chwile współpracy i pożycia z Założycielem i którzy wspomnieniami z tych czasów krzepili serca młodszych braci.



Ś. p. Br. Gerard.

W dniu 19 maja b.r. umarł brat Gerard z „Krakowskiej". Tak go nazywano ogólnie, bo tak silnie zrósł się z pierwszym domem albertyńskim i jego ubogimi. Trudno cokolwiek pisać o takim człowieku, bo nic nie zdziałał wyjątkowego, ani wielkiego; był tylko albertynem, ale albertynem z krwi i kości, którego treścią życia były: modlitwa i praca dla ubogich. Śmierć miał piękną. Zasypiał nie umierał. Nie czuł się chory, nie obawiał się też śmierci. Do ostatka był na posterunku, wszystko wypełnił i tylko pod koniec „mówić nie mógł głośno". — Ostatni raz pożegnał się serdecznie z Bratem Starszym, pomówił z nim o dawnych czasach i zasnął, jak zwykle to czynił, tylko, że tym razem już się nie obudził.

Pogrzeb miał albertyński. Prosta trumna, dużo ubogich i dzieci z zakładów a najbliżej trumny grono swych braci i sióstr z Zgromadzeń Brata Alberta. Został pochowany na cmentarzu rakowickim w Krakowie.

Z zapisek kroniki dowiadujemy się, że brat Gerard „z Krakowskiej" znany był kiedyś w świecie pod nazwiskiem Gromadzki Daniel Urodził się 25 grudnia 1862 r. w Janowie (Lub.) a do Zgromadzenia wstąpił w roku 1896.

Po znojnym trudzie, niech w Panu odpoczywa spokojnie.

Czy Albertyni powrócą do Tarnowa?

Niedawno prasa codzienna doniosła, że dzięki ofiarności Ks. Romana Sanguszki powstanie w Tarnowie zakład dla chłopców im. Br. Alberta.

Jak dotychczas, powstanie nowego domu nie jest jeszcze definitywnie postanowionem. Wprawdzie odbyła się konferencja Brata Starszego z Ks. Romanem Sanguszką, który wówczas oświadczył, że wypełniając przyrzeczenie złożone matce, pragnie na ten cel ofiarować znaczny obszar ziemi w Lisiej Górze pod Tarnowem, ale o przyjęciu daru i warunkach założenia domu, zadecyduje dopiero Rada Zgromadzenia.

Jak wiadomo Tarnów był jednym z pierwszych terenów pracy Brata Alberta.

Z działalności Komitetu Beatyfikacji Br. Alberta.

Staraniem Komitetu, a zwłaszcza Ks. Postulatora St. Króla, uzyskano ważne dla sprawy beatyfikacji świadectwa lekarskie i bardzo szczegółowe odpisy z aktów o przebiegu rzekomej choroby Brata Alberta z czasów jego pobytu w Kulparkowie obok Lwowa. Według uzyskanych danych, pobyt tamże Brata Alberta trwał od 17 kwietnia 1881 do 22 stycznia 1882 r.

Dokumenty powyższe wygotowali i zgodność ich z brzmieniem aktów stwierdzili podpisem: dr. Władysław Sochacki, dyrektor Zakładu i dr Aleksander Wacyk, ordynator zakładu.

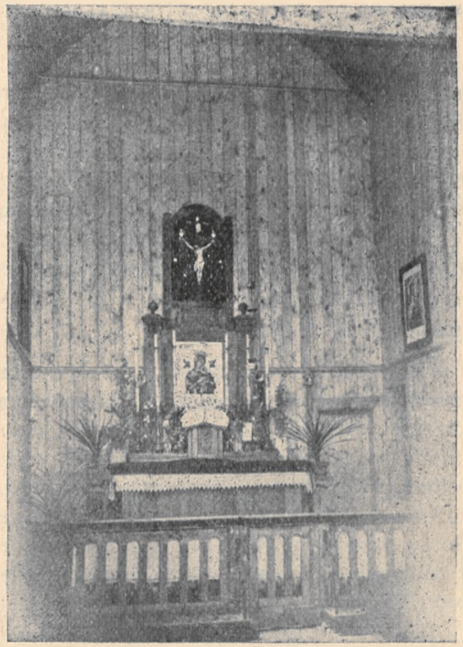
Drugi nakład życiorysu Br. Alberta przez Ks. Wł. Staicha.

Wobec całkowitego wyczerpania życiorysu Brata Alberta opracowanego przez Ks. Władysława Staicha, a wydanego w r. 1932 nakładem Braci Albertynów w Krakowie, przystąpiono do powtórzenia nakładu. Nowe

wydanie, które się już wkrótce ukaże, zostało wydrukowane w nowozałożonej drukarni albertyńskiego zakładu w Warszawie.

Rekolekcje dla Braci.

Roczne rekolekcje dla Braci w b.r. odbyły się w trzech turnusach, a mianowicie 1-szy w Przemyślu od 21 kwietnia do 6 maja, 2 i 3-ci w Zakopanem od 8 - 15 czerwca. Nauki rekolekcyjne wygłaszał Ks. St. Król, misjonarz.



Kaplica w Zakopanem.

Podziękowania za łaski otrzymane za przyczyną Brata Alberta.

2 czerwca 1935.

Niniejszem dziękuję publicznie Świątobliwemu Bratu Albertowi za wysłuchanie cudowne modlitw i wyjednanie u Boga powrotu do warsztatu pracy, w czem były trudności po ludzku nie do przezwyciężenia.

Ponieważ od szeregu lat prosiłam o to za pośrednictwem różnych świętych i wysłuchaną nie zostałam, rozpoczynając modlitwę o to do Brata Alberta, pozwoliłam sobie o ile to dozwolone, błagać Boga o udzielenie mi znaku, że właśnie za pośrednictwem Brata Alberta udzieloną zostanie. A mianowicie: o ile to Brat Albert ją wyjedna, to stanie się wczesną już wiosną, co było wprost niemożliwem. Prosiłam w styczniu b.r. i oto... w lutym b.r. tę cudowną łaskę otrzymałam. Prosząc świątobliwego Brata Alberta o dalszą opiekę nad nami, składam na podziękowanie 5 zł. A. G.

Ponadto dziękuje Br. Albertowi zà uproszenie łaski u P. Jezusa szczęśliwego zdania egzaminu dojrzałości. *Sodalis Jerzy.*

BRATNI ZNAK

Pismo dla młodzieży zakładów wychow. br. br. Albertynów.

Bezpłatny dodatek do Nr. 4 „NASZEJ MYŚLI" z lipca 1935 r.

Drodzy chłopcy.— Zapewne, jak i wszyscy — pielgrzymowaliście do grobów królewskich, aby tam złożyć hołd Marszałkowi Piłsudskiemu. Każdy tam idzie, bo serce każe pójść.

Trzeba się jednak zastanowić nad wieloma rzeczami, aby nastrój naszego ducha był godnym wielkiej chwili ujrzenia zmarłego ojca ojczyzny. Kiedy Marszałek Piłsudski bywał w Krakowie dawniej pełen życia



P. Prezydent w żałobnym pochodzie.

i energji i radosnej dumy z Polski odrodzonej, chciało się go zobaczyć — i biegło się wszędzie, gdzie była ta możliwość, a jeśli komu się to udało i był tak szczęśliwy widzieć Go, to jednak między nim a najdostojniejszym tym człowiekiem był ogromny dystans, nie ten obliczony na metry odległości, ale ten rzeczywisty, wynikający z obecności najwyższego autorytetu. Marszałek Piłsudski był najbliższym nam człowiekiem, ale

oddzielało go od nas życie wielkiego człowieka, ten trud olbrzymi, którego nie każdy sięgał myślą — i choć ten człowiek przechodził koło nas blisko, ginął jakby w mgłach, które były także naszem wzruszeniem.

Przechodził prędko, pozostawiając za sobą szmer westchnień i pieśń znajomą, tryumfalną poświęceniem tysięcy.

Przechodził — a poza nim orszak — ordery — gwiazdy - wstęgi — krzyże.

On w siwym mundurze zawsze jednaki, teraz i niegdyś, kiedy szedł w trudzie nadludzkim zdobywać nam wolność.

Duma narodowa rozprężała serce, bo Polska to był On.

Dziś zmieniło się to wszystko, bo śmierć to otwarte w nieskończoność wrota, jasny dzień powrotu do Boga.



J. E. Ks. Metropol. Sapieha i J. E. Ks. Biskup Gawlina odprowadzają trumnę na Wawel.

Dusza Marszałka Piłsudskiego odpoczywa już u stóp Tego, który ojcem jest wszystkich i zna dobrze tych, których woła ku sobie. Dusza Marszałka Piłsudskiego czysta, kryształowa, napełniona najszczytniejszą ideologją, miłująca gorąco, bez żadnych granic, bogata, szczodra ofiarą, nigdy prywatą nie splamiona — spoczywa w światłości wiekuistej.

Należny jej ten spokój, bo była od kolebki udręczona.

Na fotografjach widzieliście zawsze tylko wspaniałość i paradę i legje orderowe, — wogóle wszystko co widuje się w otoczu królów i panujących. Tak musi być dla prestiżu państwa — i stanowiska.

Ale w zaciszu murów swego domu był tak przeogromny trud, że tytanowych trzeba było ramion do udźwigania go.

Marszałek Piłsudski był niestrudzony strażnik prawości narodowej, rękę trzymał na tętnie odrodzonej Rzeczypospolitej, — trwał na posterunku i cierpiał za miljony, — bo za miljony ukochać potrafił.

A miłość bolesnym jest trudem.

Chciałabym wam powiedzieć jak z czcią pobożną powinniście się zbliżyć do jego trumny — nie z ciekawością w oczach a ze łzami rozrzewnienia i wdzięczności.

Oto ten człowiek już bezbronny, śmierci majestatem oddalony od wszystkiego, co ziemskie, a zbliżony ku nam z Bożego prawa wyroku — oddał nam ojczyznę i słońce wolności nad nią rozświecił.

Nisko na kamiennej posadzce stoi jego trumna i można mu w twarz spojrzeć blisko. Nikt nie wzbrania.

Ponad nim sklepienie pierwszej katedry romańskiej — obok króle.

Wszędzie przeszłość kultury narodu i chwały.

A on — jest przyszłością — choć już zeszedł z życia areny . . .

Lecz to co nam zostawił będzie zawsze nadzieją i otuchą.

Z niczego — bez żadnej realnej podstawy — odbudował Polskę.

Bo nic nie posiadał prócz miłości i jeszcze raz nauczył, że miłość potęgą jest największą . .

— — — — — — — — — —

W kamiennej tumbie godnie i wspaniale —
Z królami spoczywa pospołu
NA AKROPOLU.

Lecz trzeba myślą pozdrowić go bożą, bo on już teraz innej mowy nie rozumie.

Życie to droga do świętego celu — — On od lat dziecinnych cel tylko miał jeden

Wolność Ojczyzny.

Bóg przeznaczył go do tego celu, a kiedy czynu dokonał, był rozwiązany i mógł odejść, Najświętsza Panna — Polskiej Korony Królowa — duszę jego poprowadziła w wieczną chwałę Swego Syna i błogosławić zawsze będzie tej ziemi, którą tak ukochał.

Salve Regina.

Michalina Janoszanka.

Pamiętne boleścią chwile.

Dnia 12 maja 1935 r. o godz. 20·45 w pałacu belwederskim w Warszawie zakończył życie Marszałek Józef Piłsudski.

Kraj okrył się żałobą. Wszędzie odbywały się żałobne manifestacje. Ze wszystkich stron płynęły do Warszawy listy i depesze kondolencyjne. Na ręce rządu nadeszły depesze kondolencyjne od władców państw. Do tronu Najwyższego Sędziego płynęły modlitwy za duszę ś. p. Marszałka.

Stosownie do ostatniej woli Marsz. Piłsudskiego i niepomiernych jego zasług i roli, postanowiono oddać mózg dla celów naukowych badań, serce Wilnu i złożyć u stóp matki, a ciało złożyć w grobach królewskich na Wawelu.

Eksportacja zwłok Marszałka z Belwederu do katedry św. Jana odbyła się wieczorem w środę. Zwłoki ustawione były na wspaniałym katafalku w głównej nawie katedry, — i udostępnione do odwiedzania dla wszystkich.

Uroczystość żałobna w Warszawie odbyła się w piątek, dnia 17 maja i rozpoczęła się nabożeństwem w katedrze św. Jana. Kazanie wygłosił Ks. Biskup Gawlina. Po nabożeństwie wyruszył kondukt żałobny na Pole Mokotowskie, na którem delegacje armji złożyły ostatni hołd swemu Wodzowi. Na miejscu, gdzie stała zwykle w czasie rewji trybuna, z której Marszałek przyjmował defiladę, ustawiona była trumna.

Bezpośrednio po defiladzie trumna została umieszczona w wagonie, który oczekiwał już na bocznicy kolejowej, dochodzącej do Pola Mokotowskiego. Wagon-platformę z lawetą armatnią, na której umocowano trumnę, umieszczono w pośrodku pociągu, który w piątek wieczorem odjechał do Krakowa. Pociąg jechał bardzo wolno i zatrzymywał się kilkakrotnie na stacjach, gdzie zebrana ludność i władze oddawały hołd. Po drodze całe wsie stały wzdłuż toru, którym pociąg przejeżdzał.

W nocy przybyły do Krakowa liczne pociągi, które przewiozły P. Prezydenta Rzpltej, rząd, przedstawicieli Sejmu i Senatu, delegacje z całego kraju. W sobotę rano zebrały się tłumy na ulicach Krakowa, na peronie ustawiły się władze z P. Prezydentem na czele i delegacje państw obcych. Gdy zajechał pociąg z trumną ś. p. Marszałka odkryły się głowy Po krótkich modłach trumnę umieszczono na lawecie armatniej, zaprzężonej w 3 pary karych koni i pochód ruszył na Wawel. Za trumną szła p. Marszałkowa prowadzona przez gen. Rydza-Śmigłego, obie córki ś. p. Marszałka Wanda i Jadwiga, rodzina, Pan Prezydent Rzplitej, marszałkowie Sejmu i Senatu, rząd, przedstawiciele państw obcych, a potem delegacje wojska, urzędów, szkół i wszystkich organizacyj w Polsce.

U stóp Wawelu pod pomnikiem Kościuszki oczekiwała wielka grupa włościaństwa z wszystkich stron Polski. Byli tam poleszucy, górale tatrzańscy, łowiczanie, ślązacy, huculi, kaszubi, słowem cała wiejska Polska, w swoich wspaniałych barwami ludowych strojach.

Gdy trumna wjechała na zamek wawelski powitały ją dźwięki „Zygmunta". Przed główną bramą katedry zatrzymała się laweta z trumną a Pan Prezydent Rzpltej, jako jedyny mowca na całym pogrzebie, imieniem całej Polski pożegnał „króla serc polskich". Po przemówieniu generałowie wnieśli trumnę do katedry, gdzie JE. Książe Metropolita Sapieha odprawił uroczyste nabożeństwo żałobne. Modły przy katafalku odprawiło też grecko-katolickie duchowieństwo z Ks. Biskupem Kocyłowskim z Przemyśla na czele.

Po nabożeństwie trumnę wzięli na ramiona generałowie i zanieśli do krypty św. Leonarda. Oprócz duchowieństwa do krypty weszła tylko rodzina, Pan Prezydent i rząd. W chwili składania trumny w podziemiach Wawelu artylerja oddała 101 strzałów armatnich, a orkiestra odegrała „Pierwszą Brygadę".

Po pełnym trudu żywocie ś. p. Marszałek Piłsudski spoczął na wieki w tym samym Krakowie, skąd przed 21 laty wyszło pierwsze jego wojsko, kompanja kadrowa.

DZIADKOWI.

Cóż, że byłeś dla Polski bohaterskim Wodzem,
Co szlaki samych zwycięstw znaczył po swej drodze,
Który nie spoczął wcześniej, aż zbudował Polskę,
Wolności nie wywalczył legjonów wojskiem.

Cóż, że stałeś się wielkim Twórcą swej epoki,
Że Twoje Imię głośne było w całym świecie,
Żeś jak tytan mocarny i genjusz głęboki,
Kiedyś zawsze był taki słaby wobec . . . d z i e c i.

Cóż, że w Warszawie wierne druhy-generały
Jako relikwje szczątki Twoje na się brały,
Że śnisz w wawelskiej tumbie o boju-poniewierce,
Kiedy we Wilnie d z i e c i pieszczą Twoje serce.

Cóż, że dla narodu zostaniesz Wodzem Duchem,
Że zew Twego Czynu nie przebrzmie echem głuchem,
Kiedy dla polskich d z i e c i (jak sam Bóg im świadkiem)
Najukochańszym, zawsze pozostaniesz . . . D z i a d-
[k i e m.

CIEKAWOSTKI.

Władysław Reymont był krawcem.

O tym mało znanym fakcie, a tak zaszczytnym dla krawców, opowiada p. Paweł Krzowski w jedynym, zdaje się tygodniku dla młodzieży szkoł dokształ. zawod. „P i o n i e r rodzimego przemysłu".

. . . Reymont, autor nieśmiertelnej epopei „Chłopów", zanim stał się wybitnym powieściopisarzem, na początku swego młodego życia próbował różnych zawodów, ażeby zarobić na kawałek chleba.

Jako mały chłopiec uciekł z domu i tułał się tu i tam za znalezieniem pracy. Był z początku zwykłym robotnikiem, później dozorcą kolejowym i dozorcą plantów, aż wreszcie przybył do Warszawy i zaczął uczyć się krawiectwa. Praktykował cztery lata i został wyzwolony 2 stycznia 1884 r. jako 17-letni młodzieniec.

Majstrem wyzwalającym krawca Władysława Reymonta, był mistrz Konstanty Jachimowicz, który go zapisał jako czeladnika w księdze cechowej pod nr. 1032. W aktach tych czytamy pochlebną opinję przełożonych o pracy rzemieślniczej Władysława Reymonta, „jakoby okazał frak bardzo dobrze uszyty". W Cechu Mistrzów Krawieckich, który istnieje w Warszawie od r. 1830, wisi na trzeciem miejscu portret krawca Wład. Reymonta. Chluba naszej kultury narodowej, której imię rozgłosił na całej kuli ziemskiej, jako laureat najwyższej nagrody Nobla.

Wprawdzie Reymont nigdy za życia nie przyznał się do zawodu krawieckiego, chociaż doskonale własne ubranie reperował i naprawiał, ale jednak prawdą jest, że autor „Chłopów" był dobrym krawcem, „bo okazał frak bardzo dobrze uszyty".

Lotnik zemdlał na wysokości 11.000 m.

Znany ze zeszłorocznego challenge'u pilot czeski Anderle dokonał rekordowego wyczynu sportowego, ale którego omal nie przypłacił życiem. W przeciągu kwadransa osiągnął wysokość 11.000 m. i w pewnej chwili stracił przytomność, prawdopodobnie wskutek niebywałego zimna, bowiem temperatura wynosiła 64^{0} poniżej zera.

Samolot nagle runął wdół. Gdzieś w połowie drogi samolot sam się wyrównał a po tem znów zaczął gwałtownie opadać. Lotnik dopiero na wysokości ok. 5.000 m. odzyskał przytomność. Zdołał szczęśliwie wylądować, ale nie miał sił, aby sam wysiąść z aparatu. Odwieziono go do szpitala.

Wiatyk wakacyjny.

Krakusom.

Jest lato. Za kilka dni chłopcy krakowscy przyjadą do Zakopanego. Wchłoną ich podtatrzańskie lasy. Oni na miesiąc zapanują w miejscu, gdzie cały rok trwa cisza i dostojność górskiej przyrody. Rozkrzyczą się ich głosem regle, rozbawią ich ruchami hale przyległe, a przedewszystkiem ozłocą się ich twarze radosnym śmiechem i rumieńcem zdrowia. Ich udziałem będzie iście królewska rezydencja. której im dużo ludzi w Polsce może pozadrościć. Wszak to miejsce wybierał sam Brat Albert i sam najwięcej ukochał. Nie chcę pisać o piękności tego zakątka, bo lepiej go może znacie i odczuwacie, ale na progu wakacyj chcę wam przypomnieć jeden obrazek.

Było już gdzieś około wieczora. Słońce czerwienią smykało się po tatrzańskich turniach i wyczarowywało piękne zjawy. W te cuda gór i słońca zapatrzony zapamiętałem się. Z drugiej strony domu odbywała się próba orkiestry, bo chodziły mnie piski klarnetów, sygnały trąbek i ciągle podpowiadający głos kapelmistrza.

Nagle zjawił się przedemną Tadek. Zdyszany i jakby przerażony. Do niego, jako do chłopca rezolutnego i okrutnego wesołka, miałem jakąś słabość. dlatego stan jego mocno mnie zaniepokoił.

— Co ci się Tadku stało? — zapytałem niby spokojnie.

— Irenek spadł ze skały . . . noga zdaje się i ręka . . . niosą go z Kondratowej jacyś dwa akademicy . . . a ja wcześniej . . . — bełkotał wystraszony.

Zrozumiałem. Poleciłem chłopcom wziąść cztery koce, a sam z apteczką pospieszyłem naprzełaj lasem kalatowskim. U zejścia do Wywierzyska spotkaliśmy wspomnianych przez Tadzika akademików, transportujących ofiarę wypadku. Przypadkowi samarytanie objaśnili mnie, że ma on plecy tylko silnie zadraśnięte, a natomiast ręce i nogi bardzo spuchnięte i stłuczone.

Dość długo trwało przeniesienie go do Kuźnic, a stamtąd już wozem do szpitala. Cierpiał bardzo, ale nic się nie żalił, a raczej w oczach przebijał jakby żal ze wstydem.

Nazajutrz odwiedziłem go w szpitalu. Chłopiec z radością mię powitał i szczerze się cieszył z przybycia. Postanowiłem wyjaśnić powody wypadku.

— Słuchaj, Irenku, czy możesz mi powiedzieć jak to się wszystko stało?

— Powiem Bratu Przełożonemu tylko tyle, że Pan Bóg mnie pokarał.

Zamiast dalszych słów, wyjął z zanadrza pęk zmiętych szarotek i ze wstydem dorzucił jeszcze: — „Chciałem sprzedać".

Karą rzeczywiście Bożą był dla niego pobyt w sali szpitalnej, zamiast w górach i halach, — bezruch i cierpienie, zamiast zabaw, harców i radości. Wszyscy się domyślacie, że Irenek po turniach i skałach Giewontu zrywał szarotki i dlatego poniósł karę. Jakby to był czyn dobry, toby się go nie wstydził, ani w wypadku nie dopatrywał się kary Bożej. Wy sami przecież z tem się zgadzacie, że rwanie szarotek i przez to niszczenie tych najpiękniejszych ozdób naszych Tatr jest czynem hańbiącym każdego Polaka. Kwiatki te podlegają ustawowej ochronie i przeto każdy, który je zrywa jest złodziejem kultury roślinnej tej części naszej Ojczyzny, którą z całego świata ludzie przyjeżdżają podziwiać. Trudno nawet przypuścić, byście się wy mieli w podobny sposób odwdzięczyć tym górom, ktore wam dają tyle nieocenionych skarbów dla waszego zdrowia i przyjemności.

Br. Józef.

Życie zakładowe.

Znowu coś z Przemyśla.

Zdawaćby się mogło, że Przemyśl ogarnięty jakąś nieuleczalną apatją na chwilkę się tylko budzi, by dać znać światu o sobie i o swem wewnętrznem życiu, — życiu ślimaka w swej skorupce. Nie jest tak jednak; — do zaraźliwej apatji jeszcze daleko, a to, że nie dajemy znaku o sobie, jest może wynikiem zajęcia się wyłącznie swem życiem. Życie bowiem przemyskich chłopców upływa pod znakiem wesołości, przemieniającej się niejednokrotnie w tak zwane „hece“, powstrzymywane „niestety“ przez upomnienia Br. Euzebjusza. Trudno, musimy się podporządkować regulaminowi. Możnaby już jako tako wytrzymać z jednym regulaminem, ale dwa to już nieco za dużo. Trzeba bowiem wiedzieć, że Stowarzyszenie, chcąc okazać swój autorytet, ułożyło, naśladując władzę naczelną, jakieś kodeksy karne, cywilne, karno-cywilne i tym podobne delikatesy . . . a ty, nieboże słuchaj i kładź uszy po sobie. Brrr . . . trochę zadużo. Bolączka koło bolączki, — ale i plastry zapobiegawcze mamy i doprawdy brakłoby tych bolączek, by zużyć wszystkie posiadane plastry. Już sama piłka to „cymes”, że trudno o coś lepszego.

— Ty, „Łysy“, aleś mi po kulach zajechał.

— Wo — widział to kto taki frajerstwa balikać, — ja jego po kulach zajechać.

— Ta joj, Łyściutku kochany, braciaszku złocisty . . . ta si ni ciskaj . . . ja ino — ot tak . . . bu mi to gnypy bolom . . .

— Nu ta ni gadaj, ży ja ci kulasy poprzytrącał, ino si naucz tak miszać.

— — — — — — — — —

Ale to jeszcze nie wszystko co wesołe. Jest tego jeszcze dużo, ale nie o wszystkiem da się pisać. Lepiej z każdego po odrobinie i mamy klasa obraz z cieniami, światłami, ze wspaniałą plastyką i kolorystyką uplasowaniem. Cienie — to niby wszelke bolączki; światła, to zdrowotne plasterki. Wypada więc jeszcze coś o plastyce i kolorystyce napisać. Tylko czem mogłaby być ta plastyka? — Może to jest codzienna praca, ten nasz najistotniejszy cel, który nam Bóg w swem mądrem i wielkiem dziele przeznaczył, którego trzymamy się i jednem słowem, pracując, budujemy przyszłość Polski, naszą i naszych pokoleń.

Ale i wśród tej żmudnej pracy nie zapominamy o kulturze i z zapałem urządziliśmy ostatnio akademję ku czci Pana Marszałka w miarę sił i zasobów. Przychodzi nam również Brat Przełożony z pomocą i np. niedawno zreferował nam dzieje cudownego obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. W tem mniejwięcej sposób nadajemy naszemu życiu pewnego zabarwienia kulturalnego, a obrazek naszego życia zyskuje przez to kolorystykę. Wypadałoby jeszcze dla uzupełnienia i wykończenia całości obrazu życia przemyskich wychowanków wspomnieć cokolwiek o uplasowaniu — a tem może być jedynie nas stosunek do Boga. O tem jednak lepiej nie pisać, bo „niech nie wie lewica, co czyni prawica“.

„IGNOTUS Z PRZEMYŚLA“

Na fundusz beatyfikacyjny Br. Alberta

złożyli: Jan Augustyn 8 zł., Jan Łasiak 5 zł., Brodacka Zofja 2 zł, Tomaszewska 20 zł., Borodzicz 1 zł. Sikora Jerzy 2 zł., A. G. 5 zł. Razem 44 zł. „Bóg zapłać" !

Odpowiedzi Redakcji.

P. Jamrozik Wojciech z Młoszowej k. Trzebini pisze nam: ***„Serdecznie dziękuję za wysyłkę pisma „Nasza Myśl". Piękne to pismo. Czyta się w niem różne pożyteczne artykuły. Czyto z życia Brata Alberta, czy z zakładów albertyńskich, czy też inne. Proszę dalej o wysyłkę. Bardzo to pismo pokochałem".***

List Pański nas wzruszył i szczerze za ciepłe słowa dziękujemy. Możemy Pana zapewnić, że „Nasza Myśl" wtedy dopiero bedzie naprawdę piękna, gdy będzie miała dużo takich, jak Pan przyjaciół. Prenumerata załatwiona. Wzajemnie Pana i Otoczenie pozdrawiamy.

Ignotus z Przemyśla

Bardzo a bardzo dziękujemy. Dostaliśmy wreszcie to, czego daremnie od kilku lat wyczekiwaliśmy. Maleńka przy tem uwaga. Jak wszyscy pozostaniemy ***Ignotusami z Przemyśla, Szczepkami*** ze Lwowa. ***Najeźdźcami*** z Warszawy, ***Włafigami i Jocusami*** z Krakowa, to raczej będziemy zakrawali na tajemniczą lożę Środkowego Wschodu, a nie na bliską sobie brać albertyńską.

Dlatego skończmy już raz maskaradę pseudonimową i poznajmy się wzajemnie.

„Niech nie wie lewica", co pisze prawica, ale niech redakcja wie z kim ma przyjemność.

Redakcja.

Wydawnictwa.

„Skuteczny Różaniec".

Napisał *Ks. Henryk Weryński.* Stron *24.* Cena *25 gr.*
Wydawnictwo i nakład S S. Służebnic N. Serca Jezusowego Kielce Karczówka.

700-tną rocznicę kanonizacji św. Dominika, wielkiego propagatora nabożeństwa różańcowego i 50-tą rocznicę zaprowadzenia październikowego nabożeństwa różańcowego przez ś. p. Papieża Leona XIII-go uczcił autor powyższej książeczki, znany szeroko i ceniony publicysta, odpowiadając na dwa pytania: 1) dlaczego różaniec jest skutecznym, 2) i kiedy różaniec jest naprawdę skutecznym.

Publikacja nadaje się do masowego rozpowszechnienia i przyczyni się niewątpliwie do a) lepszego zrozumienia, b) poprawniejszego odmawiania i c) serdeczniejszego umiłowania różańca.

Na ciężkie czasy: zmagania się z bezbożnictwem i niewiarą, na czasy czynnego katolicyzmu (Akcji Katolickiej) uzbrojenie współczesnych katolików w paciorki rożańcowe uważamy za pierwszorzędne zadanie: w mobilizacji modlitwy, nieodzownej w walce.

Opłata pocztowa
uiszczona ryczałtem.

Adres zwrotny: „Nasza Myśl"
Kraków, ul. Tad. Kościuszki 86.